

Przemysław Żurawski vel Grajewski, Radosław Żurawski vel Grajewski: Narody piszące i narody czytające historię

Anglosasom – poza dwoma wiekami historii imperialnej i mocarstwowej, pomaga w zachowaniu osiągniętej pozycji i w narzucaniu innym swego obrazu przeszłości ich utrzymująca się przewaga polityczna i ekonomiczna, wyrażana także w potężnej kinematografii.



Historię „czytają” wszystkie narody, nawet, jeśli pod tym terminem rozumiemy jedynie recytowane z pamięci wersety podań plemiennych. W sensie historiograficznym wszystkie także ją „piszą” (choćby we wspomnianym powyżej kształcie). Tylko

nieliczne jednak mają przemijającą w czasie zdolność upowszechniania własnej wizji dziejów i narzucania jej, czy to przemocą, czy też wskutek siły własnej kultury, innym ludom. W sensie przenośnym jednak podział ów się zaciera. Nawet najmniejsi mogą swymi czynami „podyktować” historię wielkim mocarstwom jak Serb – Gawiło Princip w Sarajewie w roku 1914, czy Czeczen – pułkownik Asłan Maschadow, dowodzący odbiciem Groznego z rąk rosyjskich najeźdźców w roku 1996.

Jeśli zgodzimy się z twierdzeniem, że jednym z najważniejszych czynników konstytuujących istnienie narodów jest ich świadomość historyczna i poczucie odrębności własnej, specyficznej tradycji postrzeganej jako wspólna w obrębie danej społeczności narodowej, musimy też przyznać, iż zapisywanie i odczytywanie przez nie dziejów jest czynnością, którą warto poddać bliższej analizie. Z drugiej strony, zadany jako temat niniejszego eseju tytuł zawiera sugestię, że aktywność narodów w tej dziedzinie dzieli je na dwie kategorie – narodów piszących swą (a może także i cudzą) historię oraz narodów pogrążonych w jej lekturze. Czy rzeczywiście jest to kryterium, którego zastosowanie może doprowadzić nas do interesujących obserwacji?

Po pierwsze, należałoby bliżej sprecyzować zaproponowane pojęcia. Już na tym etapie napotykamy jednak na spore trudności związane z mnogością możliwych interpretacji. Wszak każdy naród w jakiś sposób zapamiętuje swoją przeszłość i stara się ją zapisać w swej zbiorowej pamięci. Klasycznym przykładem pisania (i czytania) historii (mitów) narodowych są podania o wyjściu Abrahama z Ur, pochodzeniu Rzymian od trojańskiego Eneasza, szlachty polskiej od Sarmatów, a Rumunów – od mężnie opierających się Rzymianom Daków. Jeśli jednak za narody piszące historię uznamy te, których dzieje dają

przykłady ponadprzeciętnej aktywności, potęgi, ekspansji, przemożnego wpływania na losy innych narodów czy nawet całego świata, powinniśmy do nich zaliczyć wszystkie nacje, które kiedykolwiek posiadały własne imperia kolonialne bądź zdołały podporządkować i zorganizować w strukturach administracyjnych własnego państwa swych sąsiadów. Lista zapewne byłaby długa. Znalazłaby się na niej większość narodów europejskich, Amerykanie, Japończycy, Chińczycy, ale zapewne także Persowie, Arabowie czy – *toutes proportions gardées* – Zulusi. Mogłoby się nawet okazać, że minimalne wymogi zaproponowanej definicji (podporządkowanie sąsiadów) w takim czy innym okresie swych dziejów spełnia większość znanych nam narodów. Oczywiście jest jednak, że skala aktywności owych narodów i ich wpływ na historię świata pozostają w rażącej dysproporcji. Kolejnym istotnym spostrzeżeniem jest konstatacja, że aktywność danego narodu i jego pozycja wobec innych jest na ogół zmienna w czasie. W ten sposób z „narodu piszącego” może stać się on „narodem czytającym” historię – jeśli pod tym pojęciem będziemy chcieli rozumieć sytuację, w której dany naród – pozbawiony własnej zorganizowanej formy istnienia, staje się uczestnikiem historii innego narodu, któremu podlega i który pisze ją bez jego aktywnego, odrębnego udziału.

Jeśli zaproponowane w tytule terminy będziemy interpretować w powyższy sposób, powtórzymy w istocie odbytą już w wiekach XIX i XX dyskusję o narodach historycznych i niehistorycznych, zdezaktualizowaną po części o tyle, że wiele spośród narodów kwalifikowanych wtedy jako niehistoryczne – ów „patent na historyczność” w postaci posiadania własnego, narodowego państwa, w XX wieku już zdobyło.

Gdyby potraktować oba terminy dosłownie – nie jako odniesienie do aktywności samych narodów, ale do skuteczności upowszechniania, także wśród innych – przekazu zapisywanej przez nie wersji dziejów, krąg narodów piszących historię wyraźnie by się zawęził. Znaleźliby się w nim (w porządku chronologicznym osiągnięcia tego statusu): Grecy, Rzymianie, Żydzi, Francuzi i wreszcie Anglosasi (Anglicy i Amerykanie), oraz Rosjanie. Oddziaływanie tych właśnie narodów na kanon historii powszechnej – tj. upowszechnionej w skali światowej własnej wersji przeszłości – jest zapewne największe. Na plan pierwszy jako narody piszące historię wybijają się przy tym Francuzi i Anglosasi. To ich dzieje stanowią kanwę historii powszechnej w tym rozumieniu, że bitwa pod Poitiers, monarchia Karola Wielkiego, krucjaty, wojna stuletnia, Henryk VIII ze swymi sześcioma żonami, Elżbieta Tudor z klęską „Wielkiej Armady”, Noc Świętego Bartłomieja, Fronda, Cromwell i Król Słońce, rewolucje amerykańska i francuska oraz wojny napoleońskie wyznaczają kanon wykształcenia historycznego inteligenta w całym kręgu kultury europejskiej i północnoamerykańskiej. Wszystko to są wydarzenia i postaci przełomowe dla dziejów narodowych Francuzów i Anglików, a od schyłku XVIII wieku także Amerykanów, bazujących na wcześniejszej tradycji angielskiej. Dzieje francusko-angielskie (anglosaskie) uzyskały zatem charakter wiodącego nurtu dziejów powszechnych właśnie wskutek faktu, że to dzięki swej potędze politycznej Francuzi i Anglosasi zdobyli, jako pierwsi w czasach nowożytnych i w sposób trwały utrzymali, pozycję narodów piszących historię. Inne narody dopisywały się do niej w różnych okresach i w różnym wymiarze – na ogół regionalnym. Żaden z nich nie zdobył jednak takiego wpływu na wizję historii ludzkości, jak owe dwa największe zachodnioeuropejskie narody imperialne. W rezultacie inteligent europejski może nie wiedzieć, o czym zadecydowały bitwy pod Las Navas de Tolosa (1212 r.

– przełomowy moment hiszpańskiej rekonkwisty) czy Grunwaldem (ale już nie Tannenbergiem z 1914 r.), lecz nie wypada mu nic nie słyszeć o Crécy (1346) i Azincourt (1415), choć w zestawieniu z liczbą walczących na polach między Grunwaldem, Stębarkiem i Łodwigowem (ok. 60 tys.), były to starcia znacznie mniejszych rozmiarów (odpowiednio 30 – 40 tys. i ok. 24 tys.); może nie kojarzyć, kim był Kościuszko, ale nazwisko markiza de La Fayette’a musi znać, choć to ten pierwszy stał na czele ostatniej wojny upadającego dużego państwa europejskiego, Francuz zaś był zawsze w drugim szeregu aktorów wielkiej historii. Będzie też raczej słyszał o zakończonej masakrą szarży brygady lekkiej pod Bałakławą niż o wyczynie szwoleżerów polskich pod Somosierrą, mimo że rogiatywki lansjerów brytyjskich z 1854 r. były wspomnieniem po krwawej lekcji, jaką Anglicy odebrali pod Albuerą w 1811 r. od ułanów Konopki z Legii Nadwiślańskiej.

Tradycja antyczna i judeochrześcijańska została na trwałe wpisana w europejski, a potem światowy kod kulturowy, podobnie jak tradycja francuskiego oświecenia wraz z wieńczącą je rewolucją. Starożytni Grecy i Rzymianie już jednak nie istnieją, a ich współcześni nam potomkowie utracili dawno status narodów piszących główny nurt dziejów powszechnych. Historię tych odległych czasowo od nas ludów w znacznej mierze opisali i upowszechnili zresztą ich francuscy i anglosascy badacze, wspomagani oczywiście wysiłkiem historyków innych narodów, ale choćby z racji uprzywilejowanej pozycji własnych języków, mający przemożny wpływ na panującą na świecie wizję dziejów starożytnych.

Anglosasom – poza dwoma wiekami historii imperialnej i mocarstwowej, pomaga w zachowaniu osiągniętej pozycji i w narzucaniu innym swego obrazu przeszłości ich utrzymująca się

przewaga polityczna i ekonomiczna, wyrażana także w potężnej kinematografii, będącej od drugiej połowy XX w. najbardziej nośnym medium upowszechniającym przekaz historyczny; jak również pozycja języka angielskiego – będąca pochodną pozostałych czynników, a tworząca z niego *lingua franca* dzisiejszego świata. W tym sensie – przejąwszy przyswojone już dziedzictwo poprzedników – współczesną historię z licznymi jej interpretacjami odnoszącymi się do odleglejszej przeszłości piszą właśnie Anglosasi. Wydaje się natomiast, że tak rozumiany status hegemonu historiografii powszechnej mogą utracić Francuzi. Z pozostałych narodów imperialnych silnie zagrożeni w swych pozycjach są także Rosjanie. Wraz z upadkiem ich imperium, słabnięciem pozycji języka rosyjskiego w regionie i zanikiem oddziaływania narzucanej przez nich wizji historii na narody podległe niegdyś ich wpływom oraz wraz z odzyskaniem przez te narody swobody głoszenia własnej interpretacji przeszłości i przekonywania do niej Zachodu, moskiewska wizja dziejów powszechnych czy choćby tylko wschodnioeuropejskich, zaakceptowana generalnie przez Francuzów i Anglików, może ulec erozji. Mimo tych zastrzeżeń, za narody piszące historię w okresie nowożytnym, czy to przez cały czas, czy też jedynie okresowo i/lub regionalnie, ale z zachowaniem zdolności włączenia swej wizji do kanonu dziejów powszechnych, należałoby uznać, obok Anglosasów i Francuzów, także Rosjan, Niemców i Hiszpanów, a w wymiarze kulturowym, poprzez dzieła swych twórców, również Włochów i Holendrów. To sposób napisania historii w jej głównym nurcie światowym rozstrzygnął o tym, że męczeństwo Thomasa Becketa jest elementem historii powszechnej, a sto lat odeń wcześniejsze, lecz bliźniaczo doń podobne męczeństwo św. Stanisława ze Szczepanowa pozostaje wyłącznie w polskiej pamięci. Podobnie to nie dorobek poszczególnych wielkich ludzi Renesansu, lecz zdolność poszczególnych narodów do upowszechnienia swojej wizji dziejów zdecydowała o tym, że Erazm z Rotterdamu jest postacią powszechnie znaną, a Jan Łaski pozostał „własnością” jedynie Polaków,

tak jak Franciszek Skoryna (twórca pierwszych druków w językach wschodniosłowiańskich – konkretnie starobiałoruskim) „należy” wyłącznie do Białorusinów. (W tym ostatnim przypadku trudno się zresztą było spodziewać, by „pisząca historię” Moskwa ochoczo upowszechniała wiedzę o tym, że nie do niej należał prymat kulturowy we wschodniej Słowiańszczyźnie).

Podobnie jak z ludźmi bywa też z osiągnięciami ustrojowymi. Przywilej nieszawsko-jedleńsko-krakowski – *Neminem captivabimus nisi iure victim* pochodził z lat 1422, 1430, 1433, a jego angielski odpowiednik – *Habeas corpus act* dopiero z 1679 r., a jednak w obowiązującej historii świata to ten drugi wyznaczył postęp prawny ludzkości. Można oczywiście wskazywać na stanowy charakter pierwszego prawa i powszechny drugiego, ale nie da się już bronić tezy o istotnej różnicy w dostępie do rzeczywistej opieki prawnej ludzi niższych klas w Rzeczypospolitej i w Anglii w XVII w.

Słynne zdanie – *We hold this as self evident that all the people are created equal* (Uważamy za rzecz samooczywistą, że wszyscy ludzie są stworzeni równi) – ogłoszone w *Deklaracji niepodległości* Stanów Zjednoczonych z 1776 r., pierwszy zapisał w końcu XVI wieku biskup przemyski Wawrzyniec Goślicki (Laurentus Gromualdis) w swym dziele *De optimo senatore*, a mimo to świat za jego autora uważa Thomasa Jeffersona. Nie pamięta też o tym, że ilekroć na dowolnym westernie rozlega się głos trąbki nadciągającej z odsieczą kawalerii *US Army*, zapowiada on pojawienie się na ekranie formacji utworzonej przez Kazimierza Pułaskiego.

Ilustracje skądinąd oczywistej tezy, że wizje dziejów powszechnych ukształtowane zostały przez główne narody piszące historię (Anglosasów, Francuzów, Rosjan i, w mniejszym stopniu, Niemców, Hiszpanów, Holendrów i Włochów) można by mnożyć. Poza wyżej wymienionymi, wszystkie pozostałe narody wypadaloby zakwalifikować jako czytające historię – ale czy słusznie?

Po pierwsze, posługując się powyższą interpretacją przyjętych terminów należałoby uznać także wielopoziomowość owego upowszechniania historii – widoczną zwłaszcza przez pryzmat doświadczeń polskich. Bez wątpienia wizja dziejów Polski – w tym i przyczyn jej upadku – propagowana w XIX wieku przez mocarstwa zaborcze, bardzo silnie zakorzeniła się w powszechnej świadomości historyków na całym świecie i nadal funkcjonuje w całkiem licznych naukowych i jeszcze liczniejszych popularnych opracowaniach tego tematu. Wynikałoby z tego, że w pewnych fragmentach dziejów powszechnych do grona narodów piszących historię awansowałiby Austriacy i ponownie Niemcy oraz Rosjanie. Obszar sporów interpretacyjnych odnoszących się do historii jest jednak zmienny w tym sensie, że w zależności od skuteczności i zdolności adwersarzy przebicia się do szerszej opinii światowej z własną wersją opisywanych wydarzeń, sposób ich postrzegania przez ową opinię może ulegać zmianom. A zatem każda strona sporu ma potencjalną szansę napisać choćby kawałek dotyczącej jej historii po swojemu i skutecznie upowszechnić zaproponowaną przez siebie wersję. Jeśli tak, to grono narodów piszących historię (przynajmniej we fragmentach do nich się odnoszących) mogłoby ulec znacznemu rozszerzeniu.

We wszystkich dotąd zaproponowanych interpretacjach kategoria „narodów czytających historię” wyłania się jako grupa niespełniająca kryteriów wskazanych dla „narodów piszących historię”. Takie negatywne kryterium kwalifikacji wydaje się jednak ryzykowne, gdyż brak zdolności wpływania na kształt dziejów innych narodów czy możliwości upowszechniania własnej wersji ich interpretacji, nie oznaczają automatycznie skłonności do głębszej refleksji nad własną kondycją narodową czy do analizowania i akceptowania jako własnej tej wersji historii, którą piszą inni. Ba, nie musi nawet w ogóle oznaczać zainteresowania historią jako taką – co termin implikujący jej czytanie nieodparcie sugeruje.

Ciekawa wydaje się zatem próba uchwycenia stosunku poszczególnych narodów do historii, wskazania przyczyn tego stanu rzeczy i na tej podstawie zakwalifikowania ich do którejś ze wskazanych grup lub do obu jednocześnie – nawet jeśli taki podział miałby mieć jedynie walor zabawy intelektualnej. Trzeba przy tym pamiętać, że głoszone sądy i spostrzeżenia będą miały subiektywny charakter odpowiadający oglądowi problemu widzianego oczami Polaka – mieszkańca Europy Środkowej – patrzącego na otaczającą go rzeczywistość nie tylko przez pryzmat obiektywnej dostępnej mu wiedzy, ale także doświadczeń historycznych i konstrukcji mentalnej ludzi z jego kręgu kulturowego.

Ów stosunek narodów do własnej historii jest oczywiście zależny od doświadczeń historycznych, jakie stały się ich udziałem. Narody, które utraciły niepodległość, przez długi czas były jej pozbawione lub nigdy nie posiadały własnego państwa, ale nie wyrzekły się dążeń do jego stworzenia (a należy pamiętać, że większość narodów środkowo- i wschodnio-europejskich ma za sobą tego typu doświadczenia), bez

wątpienia należą do grupy „narodów czytających historię”. Przy czym stwierdzenie to można traktować zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Lektura, a co za tym idzie, znajomość własnych dziejów stanowi dla nich element walki o zachowanie tożsamości narodowej i swego rodzaju imperatyw motywowany względami patriotycznymi. W studiowaniu przeszłości próbują też znaleźć odpowiedź na pytania, które stawia, czy stawiała przed nimi współczesność. Poszukują przyczyn ich upadku, starają się zlokalizować źródła siły, którymi dysponują, sformułować program działania w celu wydobycia się z sytuacji, w jakiej się znalazły. Często „czytanie historii” pozostaje im jako nawyk, nawet po wybiciu się na niepodległość. Przykładem takiej postawy jest trwająca od XIX wieku w Polsce dyskusja o przyczynach upadku I Rzeczypospolitej oraz próba oceny i wyważenia wpływu win własnych oraz zaborczości sąsiadów na to, co stało się narodowym doświadczeniem Polaków, kształtującym do dziś ich postawy wobec sąsiadów i własnego państwa. W gruncie rzeczy bardzo podobna – jeśli idzie o naturę problemu – dyskusja toczy się tuż za miedzą – w Czechach i dotyczy nieobcego również nam dylematu – „bić się, czy się nie bić” oraz doświadczeń wynikających z negatywnej odpowiedzi, jaką w Czechach (czy Czechosłowacji) udzielono na to pytanie w latach 1938, 1948 i 1968. Syndrom Monachium wynika w istocie z tej samej niepewności, która nurtuje Polaków – tj. niemożności znalezienia ostatecznej odpowiedzi na pytanie o to, kto był winien utracie niepodległości – zaborczy sąsiedzi czy własna słabość.

W tym ujęciu do czytania historii skłaniają narody jakieś traumatyczne przeżycia, które stały się ich udziałem. Ponieważ nie ma narodów zaś aż tak szczęśliwych, że nie mogłyby, choćby w jakiś okresach swych dziejów pogрузić się w studiowaniu własnej historii – można zaryzykować twierdzenie, iż większość z nich jest lub bywa jej czytelnikami. Najlepszym tego przykładem jest naród żydowski, który,

z jednej strony, zdołał z wielkim sukcesem upowszechnić w skali światowej własną wizję swej historii – zarówno tej tragicznej, związanej z doświadczeniem zagłady w okresie II wojny światowej, jak i z jego punktu widzenia heroicznej – starotestamentowej czy też odnoszącej się do powstania nowożytnego państwa izraelskiego i jego stosunków z sąsiadami – a zatem wystąpił w roli piszącego historię, a z drugiej zaś – jak żaden inny pogrążony jest w studiowaniu i odczytywaniu na nowo dziejów swych cierpień z hekatombą Holokaustu na czele. Na podobnej zasadzie do „narodów czytających historię” można by zakwalifikować Amerykanów, borykających się z problemami wojen secesyjnej i wietnamskiej, Niemców – starających się zrozumieć samych siebie w epoce nazizmu, czy Węgrów usiłujących poradzić sobie z narodową tragedią, którą przyniósł im traktat w Trianon w 1920 r., czy z krwawym doświadczeniem października 1956 r.

Czytanie historii przez narody ujarzmione jest zresztą zajęciem *stricte* politycznym i zwykle bywa przygotowaniem mentalnym dla kolejnych własnych czynów historycznych. Legioniści Dąbrowskiego krzepili się wspomnieniem „Czarnieckiego po szwedzkim zaborze”, powstańcy listopadowi wzywali Kościuszkę, by „patrzył na nich z nieba”, Mickiewicz modlił się „przez męczeństwo trzydziestu tysięcy rycerzy barskich”, powstańcy styczniowi „o ojców grób ostrzyli stal bagnatów”, w ich ślady szli strzelcy Piłsudskiego, a partyzanci AK z Gór Świętokrzyskich liczyli na „omszałe modrzewie” pamiętające „rok krwawych zamieci – sześćdziesiąty trzeci”. Dowodzący atakiem na ubeckie więzienie w Kielcach (4 VIII 1945 r.) kapitan Antoni Heda („Szary”) miał zaś przed oczyma zapamiętany z dzieciństwa filmowy obraz „Dziesięciu z Pawiaka”, sławiący akcję odbicia z rosyjskiego więzienia przez Jana Gorzechowskiego („Jura”) i bojowców z Organizacji Bojowej PPS dziesięciu skazanych na śmierć towarzyszy. Nie jest to specyfika polska. Nie przypadkiem powstanie węgierskie

1956 r. zaczęło się od manifestacji pod pomnikiem Józefa Bema i Sandora Petöfiiego – bohaterów lat 1848 – 1849, a rewolucjoniści Rafaela Riego y Núñeza w 1820 r. w Kadyksie wspominali Cyda po to, by samemu być wspomnianymi przez hiszpańskich republikanów ponad 115 lat później, podczas gdy legendą narodowej Hiszpanii stała się powtórzona w warunkach wojny domowej obrona Alkazaru w Toledo, mająca swój pierwowzór w czasach wojen z Maurami, włącznie ze szczególnie zamordowania zakładnika – syna dowódcy twierdzy. Na przeciwległych kresach Europy młode Ukrainki na Majdanie Niezależności w 2004 r. mówiły zaś do kamer i mikrofonów TVP: „Nie boimy się, nasze babcie za wolność szły pod kule”.

Czytanie historii w chwilach próby i czerpanie z niej otuchy i wzorów postępowania jest więc charakterystyczne dla wszystkich narodów, a przynajmniej dla bardzo wielu, o ile znajdą się one w sytuacji, która tego od nich wymaga. Bywa także kanonem wykształcenia klas rządzących wdrażanych do administrowania państwem i dowodzenia wojskami. Tak właśnie wyglądało przecież klasyczne wykształcenie obywateli rzymskich – narodu, który w pierwszej części pracy zaliczyliśmy do grona ludów piszących historię.

Jednocześnie to samo doświadczenie, które może stać się katalizatorem dla pogrążania się w studiowaniu własnej historii, może także być dla danego narodu czynnikiem popychającym go do jej pisania. Wydobyć się z niewoli narodowej, uzyskanie czy odzyskanie własnego państwa stawia przed nim zadanie napisania na nowo własnej historii – nadrobienia tych zaległości, które powstały, gdy pisanie o niej w nieskrępowany sposób nie było mu dane, lub wręcz stworzenia – lub lepiej powiedzmy – odszukania w dziejach własnych dokonań, które dotąd nie zostały spisane i zidentyfikowane jako własne. Skala tego

typu wyzwań bywa różna. Dla Polaków, Czechów czy Węgrów była to (i wciąż jest) kwestia uzupełnienia luk we własnej wiedzy historycznej i odkłamania zdeformowanej narzuconą ideologią komunistyczną świadomości własnych dziejów. Dla Słowaków, Białorusinów czy Macedończyków, a nawet – choć może w nieco mniejszym stopniu – Ukraińców napisanie własnej historii narodowej stanowi wyzwanie nieporównanie bardziej doniosłe – o ile będziemy pod nim rozumieć nie spisanie dziejów ziem, które zamieszkują, ale czynów narodu, który reprezentują. Głównym problemem pozostaje tu wypreparowanie własnej odrębnej historii politycznej z historii dominujących nad danym narodem sąsiadów, ale nie tylko. Odkłamywanie zafałszowanych dziejów bywa równie doniosłym i trudnym zadaniem, którego skala nie dla wszystkich jest jednakowa. By nie pozostać gołosłownym, wystarczy sobie uświadomić, że nikt w polskich szkołach nie usiłował nauczać dzieci, że Kościuszko był zdrajcą, ponieważ walczył z Rosją. Taki jednak obraz hetmana Iwana Mazepy był obowiązującą wersją pisanej przez Rosjan historii Ukrainy i Ukraińcy muszą sobie teraz z tym faktem poradzić.

Istnieją wreszcie narody, które ze względu na swoje unikalne doświadczenia historyczne mają specyficzny stosunek do czytania i pisania historii. Solidność i trwałość struktur państwa angielskiego, zachowującego ciągłość od bitwy pod Hastings w 1066 r. począwszy, sprawiła, że Anglików, zakwalifikowanych już przez nas za pomocą różnych kryteriów zawsze do grupy „narodów piszących historię”, trudno jest – powołując się na ich traumatyczne przeżycia jako narodu – obsadzić w roli jej czytelników. Czy jednak wobec braku takich przeżyć, sama ciągłość tradycji i dbałość o jej zachowanie nie zmusza ich do studiowania przynajmniej ich własnych dziejów? Wreszcie – z przymrużeniem – oka można zauważyć, że anglosaski system prawa,

oparty na precedensach, skłania całą rzeszę prawników brytyjskich (i amerykańskich) do studiowania historii nawet dla potrzeb bieżących działań – a jest to zapewne nie mała grupa osób.

Zupełnie szczególny przypadek stanowią Rosjanie, których co prawda zakwalifikowaliśmy jako „naród piszący historię”, ale precyzyjniej można by ich określić jako tych, dla których pisze się historię i to czasem bardzo intensywnie. Robi to jednak za nich ich władza – mówimy oczywiście o historii upowszechnianej, a nie tej, która pojawia się na kartach prac wielu wybitnych historyków rosyjskich. Rosja zawsze miała swoją oficjalną, państwową historię, którą, w zależności od potrzeb politycznych, można było na życzenie władzy retuszować, a czasem fundamentalnie zmieniać. Prawdziwe pisanie i czytanie historii w Rosji zawsze dotyczyło często wybitnych, lecz z reguły wąskich rosyjskich elit intelektualnych. Ośmielimy się twierdzić, że szerokie rzesze Rosjan nigdy swej ani cudzej historii nie miały szansy w sposób nieskrępowany pisać (tj. wyrażać do niej publicznie i spontanicznie swego stosunku), ani nigdy nie były z własnej wewnętrznej potrzeby zainteresowane czytaniem tego, co dla nich napisano. Nie ma też jasnej odpowiedzi na pytanie, czy podmiotowo istnieje naród rosyjski, który ma określony stosunek do historii – niepoddający się kaprysom władzy i niezezwalający jej na dowolne kształtowanie własnych o niej wyobrażeń i opinii.

Oficjalna rosyjska wizja historii jest nadal istotnym instrumentem polityki państwowej. W znacznie mniejszej mierze należy zresztą do przeszłości niż dzieje innych narodów. Tak było zawsze. Gdy sowieci zajęli Lwów w 1939 r., na powrót utajnili dokumenty archiwalne policji austriackiej dotyczące partyzantki Józefa Zaliwskiego z 1833 r. Archiwa rosyjskie, wyjąwszy krótki okres odwilży w czasach „wczesnego

Jelcyna”, pozostają zaś jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic państwowych. Ma to swoją logikę. Kto zabijałby dla imperium w Czeczenii, gdyby miał przed oczami przykład ujawnienia i ukarania zbrodniarzy z przeszłości?

W napisanej przez Rosjan i czytanej z uznaniem w całej Europie Zachodniej historii II wojny światowej, ZSRR jest głównym pogromcą faszyzmu, a komuniści i naziści to ogień i woda. Fotografie ukazujące wspólną paradę pododdziałów Wehrmachtu z XIX Korpusu Heinza Guderiana i bojców z 29. Brygady Pancерnej Siemiona Kriwoszeina z Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej w zdobytym Brześciu Litewskim 22 września 1939 r. zupełnie do tej wizji nie pasują. Mieszczą się zaś w niej, jak się dowiedzieliśmy z ust samego Putina, niemieccy i włoscy antyfaszyści jako współtwórcy zwycięstwa nad III Rzeszą.

Moskwa traktuje zresztą pisanie historii jako zadanie państwowe pierwszorzędnej wagi i teraz (obchody rocznicy zakończenia II wojny światowej w 2005 r.), i w przeszłości. Usiłowała napisać historię całej wschodniej Słowiańszczyzny i zawłaszczyć ją, przedłużając tym samym sztucznie swą tradycję historyczną o dzieje Rusi Kijowskiej. Prawda, tam były jej źródła, ale nie jest ona bardziej dziedziczką Kijowa, niż Paryż jest dziedzicem Rzymu, a przecież Francuzi za swego bohatera narodowego uznają Wercyngetoryksa, a nie Cezara, za przodków zaś Gallów, a nie Rzymian. Ducha związku Francji ze starożytnym Rzymem oddaje zaś dowcip o języku francuskim jako sposobie, w jaki germańscy Frankowie wymawiali tę wersję łaciny, którą porozumiewali się zromanizowani Gallowie. Tymczasem dla Kremla odwoływanie się do tradycji Rusi Kijowskiej stanowiło przez stulecia, i potencjalnie stanowi nadal, historyczną legitymizację panowania nad Ukrainą i Białorusią, w związku z czym jako takie nie jest kwestią historyczną, lecz polityczną.

Spór pomiędzy Rosjanami a Ukraińcami o interpretację dziejów jest zresztą klasycznym przykładem pisania i czytania historii przez każdy z tych narodów na swój własny, specyficzny sposób. Czy nazwy Wielka Ruś i Mała Ruś odzwierciedlają relacje pomiędzy „głównym pniem” narodów ruskich (Moskwą), a „jednym ze szczepów” – Małorusinami – jak chcieliby Rosjanie, czy też, jak wskazują Ukraińcy, jest odbiciem przejętej z Bizancjum wraz z prawosławiem terminologii greckiej i pokazuje różnicę między Rusią właściwą tzn. Małą (niczym Mała Grecja), a jej koloniami na Zalesiu – tzn. Wielką Rusią (na wzór Wielkiej Grecji – tzn. kolonii greckich rozsianych od Tanais u ujścia Donu przez Kolchidę i Krym po Marsylię i Malagę)? Świat zna interpretację rosyjską, ale Ukraińcy, odkąd zdobyli niepodległość, będą samodzielnie pisali swą historię, a im będą silniejsi politycznie i kulturowo, tym intensywniej będzie ona czytana przez innych.

Bywa, że historia, nawet na użytek mitologii narodowej, napisana jest przez sąsiadów, a potem przejęta przez dany naród i uznana za własną. Wszak Tadeusz Kościuszko i Insurekcja 1794 r. są tyleż bohaterem narodowym i narodową epopeją Polaków, co i Białorusinów, podobnie zresztą jak i Powstanie Styczniowe. Dzieje polskie odnotowują nawet przypadek jeszcze bardziej osobliwy. Jeśli rację ma badacz dziejów tureckich Tomasz Wituch, autorem dzieła *Les Turcs anciens et modernes* – pracy, która udowodniała, że *ethnos* turecki jest starszy od islamu i odmienny od pojęcia osmańskości, i która termin oznaczający wcześniej ciemnego wieśniaka z Anatolii awansowała do rangi nazwy własnej narodu panującego w imperium ottomańskim, stając się tym samym „biblią” nowożytnego tureckiego nacjonalizmu, był Mustafa Celâleddin – urodzony pod Łęczycą jako Konstanty Półkozic Borzęcki – emigrant po Powstaniu Wielkopolskim 1848 r. Napisał on historię Turków po to, by wykazać ich związki z podbijanymi właśnie przez

Moskwę narodami turańskimi Azji Środkowej i zwrócić rozbudzany nacjonalizm turecki na tory konfrontacji z Rosją także i na tym froncie. Trudno na podstawie tego przykładu postawić tezę, że to Polacy byli „narodem piszącym historię”, a Turcy ją czytali. Pokazuje on jednak, do jakiego stopnia konkretne wydarzenia historyczne wymykają się prostej klasyfikacji, dzielącej narody na „autorów” i „czytelników”. Czyż i my sami w wymiarze emocjonalnym nie postrzegamy na przykład Powstania Listopadowego przez pryzmat słów *Warszawianki* Casimira Delavigne – Francuza i strof pieśni *Dziesięciu z czwartego regimentu* („Walecznych tysięcy”) Juliusa Mosena – Niemca. Można przy tym postawić tezę, że mimo innej niż polska narodowości obu autorów, historię tę i jej wizję europejską pisali jednak Polacy, tak jak Grecy pisali własne dzieje, nawet jeśli czynili to piórem Byrona.

Istnieje powszechna opinia, że historię piszą zwycięzcy. Na tej zasadzie trafił do światowej literatury historycznej mit o polskich ułanach szarżujących na niemieckie czołgi czy twierdzenie o zniszczeniu, poprzez zbombardowanie na lotniskach, większości polskiego lotnictwa już 1 września 1939 r. Bywa jednak, że pewne wydarzenia, oglądane z perspektywy historycznej, uzyskują akceptację wszystkich głównych stron konfliktu, a mimo to pozostają tylko jedną z możliwych interpretacji tego, co rzeczywiście się wydarzyło. Przy czym fakt, że zwykle jedna wersja historii zyskuje wymiar uniwersalny, wynika właśnie z tego, iż została ona stworzona przez narody piszące historię, tzn. w tym przypadku takie, które dysponowały najskuteczniejszymi instrumentami upowszechnienia własnej wizji dziejów. Klasycznym przykładem tak pisanej historii przez duże i silne narody, bez względu na to, czy w stoczonej walce zostały one ostatecznie pokonane, czy też odniosły zwycięstwo, jest I wojna światowa. W ujęciu narodów piszących historię (Anglików, Francuzów, Niemców) był to krwawy, niepotrzebny i niezrozumiały konflikt, który zrujnował Europę, i w

którym dla niejasnych celów na rzeź wystawiono kwiat jej młodzieży. Poniesione ofiary, a szczególnie ich liczba, wydają się stanowić koronny dowód na absurdalność owego konfliktu, z którego nic dobrego dla nikogo nie wynikło. To wizja logiczna i zrozumiała. Polakom, którzy przez pięć pokoleń czekali na konflikt między zaborcami, trudno ją jednak podzielać bez zastrzeżeń. Zapewne nie zgodziliby się z nią także Bałtowie, Finowie, Czesi, Serbowie, Rumuni itd. Co interesujące, konflikt ten, przytłumiony rewolucją i wojną domową i wobec oczywistych negatywnych dla jego ubrązowania uwarunkowań czasów sowieckich, w ogóle nie zakorzenił się w historii rosyjskiej. Dzieje I wojny światowej, napisane na użytek historii powszechnej, są więc wizją zachodnioeuropejską, osadzoną w realiach okopów, wojny pozycyjnej, hekatomb zbieranych przez karabiny maszynowe i ciężką artylerię, słowem piekła ziemi niczyjej i zoranego pociskami księżycowego obrazu Verdun. Dwanaście bitew nad Isonzo (Soczi) pozostaje regionalną historią włosko-słoweńsko-chorwacką, zaś zmagania w Karpatach uległy zupełnemu zapomnieniu.

Wizja historii napisana i upowszechniona przez narody imperialne, a zatem potężne, często jest przez nie same ukazywana jako wiodący nurt dziejów powszechnych. Na jej podstawie datowane są zatem i charakteryzowane epoki. Dominacja kultury łacińskiej uczyniła z upadku imperium rzymskiego cezurę kończącą starożytność, choć zapewne Persowie, Chińczycy, Hindusi czy Japończycy mogą przy opisywaniu własnej przeszłości z całym spokojem zignorować to przełomowe dla Europy wydarzenie. Potęga kolonialna Hiszpanii, zapoczątkowana wyprawami Kolumba, uczyniła z niego właśnie, a nie ze skandynawskich wikingów, rzeczywistego odkrywcę Ameryki i wraz z upadkiem Grenady, ale już nie wraz z przypadającą w tym samym roku śmiercią Kazimierza Jagiellończyka (mimo że jego synowie władali nie tylko dzisiejszą Polską, Litwą, Ukrainą i Białorusią, ale także

Słowacją, Węgrami, Czechami, Chorwacją oraz poważnymi częściami Serbii i Rumunii), wyznaczyła jedną z dwóch (obok upadku Konstantynopola) cezur kończących średniowiecze. Przypominany po 11 września 2001 r. porządek westfalski, który rzekomo się właśnie w związku z zamachami na WTC załamał, jest także typowym przykładem projekcji na dzieje powszechne chwilowej, emocjonalnej wizji historii własnej narodów dominujących – Francuzów, Niemców, a w ślad za nimi wykształconych w tej samej szkole historycznej Anglosasów. Wszak istotą porządku westfalskiego było uznanie państw za jedynych aktorów stosunków międzynarodowych. System ten powstał w 1648 r. i według tytułowych „narodów piszących historię” stanowił początek nowej epoki w dziejach świata. Cóż jednak w takim razie począć z piratami, których zwalczanie było jednym z istotnych zadań *Royal Navy* w XVIII i XIX w. i głównym celem holenderskiej marynarki wojennej w wieku XIX, czy z terrorem hiszpańskich anarchistów, czy rosyjskich rewolucjonistów, których ofiarami padały nie tylko koronowane głowy, ale na przykład publiczność teatralna. Że tym razem ofiar było aż tak dużo – cóż, współcześni terroryści mają do dyspozycji coraz to doskonalsze środki techniczne, co nie znaczy, że ich poprzednicy (także przecież „aktorzy niepaństwowi”) nie użyliby odrzutowców pasażerskich w charakterze pocisków, gdyby tylko tego typu statki powietrzne istniały w ich epokach.

Przykłady wizji narodowych, które zostały przez „narody piszące historię” wypromowane do rangi wizji dziejów powszechnych, można by mnożyć. Na hiszpańską inkwizycję patrzymy jednak oczami angielskiej propagandy wojennej z czasów rywalizacji obu mocarstw o prymat kolonialny, na Oświecenie – oczami Francuzów, na wojny napoleońskie (wyjąwszy silną i odrębną od europejskiej tradycję polską) oczami Anglików, Niemców i Rosjan. Ekranizacja *Pana Tadeusza* w wykonaniu znanego w Europie Andrzeja Wajdy, musiała

być nie lada wyzwaniem intelektualnym dla widzów zachodnioeuropejskich. Katolicki ksiądz (Robak) przygotowujący spiszek szlachty w granicach imperium rosyjskiego po to, by poprzeć niosącego rewolucyjne idee Napoleona!!! Wszak wszyscy na świecie wiedzą, że Napoleon najechał Rosję, a nie, że wyzwalał Litwę, a Kościół katolicki i szlachta byli śmiertelnymi wrogami rewolucji francuskiej i zrodzonego przez nią „uzurpatora”. Szlachta polska była zaś, według wyobrażeń zachodnioeuropejskich, szczególnie zacofana i fanatycznie katolicka. Zacofanie jest zresztą chętnie przypisywane przez „narody piszące historię” innym, słabszym narodom. W jednej z francuskich historii Europy jest wzmianka o XVIII-wiecznej Polsce jako o kraju 100 tysięcy szlachty panującej nad niepiśmiennymi chłopami. Pomijając liczbę szlachty – niby prawda, ale czyż alfabetyzacja wsi francuskiej w owym czasie była znacząco wyższa? Takich paradoksów, wynikających z pisania historii powszechnej przez potężne narody, jest więcej.

Komu przyjdzie do głowy uznawać Oświecenie za rezultat wysiłków wyedukowanego kleru i jedno z najwspanialszych dzieł ludzi Kościoła? A przecież gdyby historię tej epoki pisali Polacy, musielibyśmy uznać ów oczywisty fakt, że Stanisław Konarski, Hugo Kołłątaj, Adam Naruszewicz, Ignacy Krasicki, Stanisław Staszic itd. byli duchownymi. Rola Kościoła w dziejach, szczególnie Kościoła katolickiego, zupełnie inaczej jest zresztą postrzegana przez Francuzów, Włochów, Hiszpanów czy Czechów, odmiennie przez Anglosasów, Skandynawów czy większość Niemców, a jeszcze inaczej przez Polaków, Litwinów, Słowaków i Irlandczyków. Każdy z tych narodów inaczej napisał tę historię i inaczej ją czyta. Polska, litewska czy irlandzka wizja Kościoła jako ostatniej reduty wolności narodowej, wolności słowa i idei wyższości prawa nad siłą, jest zupełnie niezrozumiała dla Hiszpana, Francuza czy Włocha, dla których był on ostoją *ancien régime*, główną siłą antyliberalną czy wrogiem jedności narodowej. Próba

upowszechnienia jednej z tych wizji jako jedynej właściwej musi napotkać na opór ze strony tych, których doświadczenie narodowe w omawianym zakresie zostanie zignorowane. Kwestia ta stanowi bowiem zbyt ważny element tożsamości narodowej i kulturowej każdego z omawianych podmiotów. Spór wokół preambuły do Traktatu Konstytucyjnego UE jest żywą ilustracją tej prawdy. To tak jakby spierać się o rolę emigracji politycznej w dziejach Europy. Francuzom emigranci kojarzą się ze zdrajcami – ostatnimi obrońcami przedrewolucyjnego porządku, którzy *dans les fourgons des étrangers* usiłowali wrócić do ojczyzny, by z cudzej łaski objąć nad nią rządy. Polacy wprawdzie także znają rządy przywiezione w cudzoziemskich taborach, ale emigranci polityczni w tradycji polskiej to najlepsi patrioci wygnani z kraju obcą przemocą i dla odzyskania jego niepodległości działający na obczyźnie bez wytchnienia. Czy któryś z tych poglądów jest bardziej europejski? Wszak samo takie pytanie to czysty nonsens, a jednak w przypadku tradycji chrześcijańskiej jeden z narodów (Francuzi) podjął próbę podyktowania innym własnej wizji historii jako jedynej właściwej, tyle, że wielu „odmówiło jej czytania”.

Tradycja oświecenia nieodłącznie związana z Wielką Rewolucją Francuską jest przykładem historii napisanej przez zwycięską kulturowo, a przez długi czas także militarnie Francję, czy raczej ten obóz polityczny, który nad nią zapanował. Krwawa historia Wandei – owego „ludobójstwa francusko-francuskiego”, doczekała się swego rzetelnego opisu dopiero po wielu latach i zburzyła świetlano-postępowy obraz lansowany przez Republikę Francuską w różnych jej wcieleniach. Ten fragment dziejów powszechnych był jednak uważnie czytany także przez inne narody, a doświadczenie sowieckiego komunizmu dodało do tej lektury nowe narzędzia poznawcze. Rezultatem polskiego odczytania tych właśnie kart historii Francji były *Rozważania o wojnie domowej* Pawła Jasienicy. Płynie stąd wniosek, że

nawet dzieje narodów dominujących – tzn. piszących historię powszechną, są odczytywane i reinterpretowane przez „narody czytające historię” z uwzględnieniem ich własnych osobliwych doświadczeń. Im bardziej różnorodne są to doświadczenia, tym wnikliwsza jest dokonywana analiza lektury prezentowanej przez „wielkich tego świata”. Polacy mają szczęście czy też nieszczęście posiadania doświadczeń pozwalających spojrzeć na dzieje powszechne, ale także na dzieje innych narodów, pod bardzo wieloma kątami i, ośmielimy się zaryzykować tezę, że łatwiej im zrozumieć i wczuć się w położenie najrozmaitszych stron różnorodnych konfliktów, także tych będących udziałem obcych nacji. Byliśmy „Irlandczykami” na Górnym Śląsku przed 1921 r. i „Ukraińcami” w Wielkopolsce przed 1918 r., będąc jednocześnie dla Haliczan tym, czym Niemcy dla Górnoślązaków. Byliśmy mocarstwem, które osadziło załogę na Kremlu i ocaliło Wiedeń i był czas, gdy nie było nas wcale, a każde pokolenie Polaków między latami 1655 – 1993 widziało obce wojska na swej ziemi. Byliśmy także „sprawą wewnętrzną Rosji” przy faktycznej obojętności Europy, niczym dziś krwawiąca Czeczenia i widzieliśmy naszą stolicę w gruzach niczym Grozny i jak Czeczeńcy „żądając amunicji”, otrzymywaliśmy „chorał żałobny” i w tym zapewne należy upatrywać źródeł tak silnego poparcia polskiej opinii publicznej dla narodu, który ośmiela się nieuznawać nabytej w drodze podboju rosyjskiej suwerenności nad swoim krajem. Francuzi, mający własną tradycję kolonialną – pamięć wojny w Indochinach czy bolesne wspomnienia z Algierii – potrafią z większym zrozumieniem traktować racje państwowe Rosjan, mimo oburzenia zbrodniczym charakterem ich działań.

To, co wynika z polskiego doświadczenia historii i z naszego jej odczytania przekonuje, że wizja dziejów napisana przez wielkie narody nie tyle nie jest prawdziwa, co raczej jest niepełna i ułomna.

Dla Niemca, Francuza, Anglika, Hiszpana, Włocha, Belga czy Holendra Europa zawsze była ośrodkiem ekspansji. Źródłem, z którego od czasów starożytnych wydobywały się kolejne fale zdobywców macedońskich, rzymskich, germańskich, rozmaitych krzyżowców, konkwistadorów, a wreszcie nowożytnych kolonizatorów, zalewających najpierw okoliczne kraje, a potem coraz to bardziej odległe kontynenty. Są jednak narody, które jak Polacy, Ukraińcy, Węgrzy, Chorwaci mają poczucie „kresowości” rozumianej obronnie i ucieleśnionej w słynnej, nie tylko polskiej, formule *antemurales christianorum*. W obliczu najazdów tatarskich, tureckich, a potem moskiewskich, postrzeganych jako inwazji spoza kręgu łacińskiej cywilizacji europejskiej, narody te wykształciły w sobie poczucie szczególnej misji i szczególnej zasługi wobec Europy, dla której były puklerzem, a która o tym nie wie i nie pamięta. Także Grecy, Serbowie, Bułgarzy, Macedończycy, Rumuni i Albańczycy – wszyscy, którzy padli ofiarą inwazji osmańskiej, byliby zdziwieni tezą, że istotą historii Europy jest ekspansja, a nie obrona przed nią.

Historii nie piszą niewolnicy, dlatego też doświadczenie niewolnictwa opisywane jest przez ich panów, o ile osiągną oni poziom cywilizacyjny skłaniający ich do zmierzenia się z tym problemem. Niewolnictwo, tak jak zostało zapamiętane przez narody dominujące, jest zatem historią panowania Europejczyków (i Amerykanów) nad ludźmi innych ras. Mówiąc o tym zjawisku, wykształcony człowiek kultury zachodniej myśli o polowaniach na „żywy heban” wyludniających Afrykę albo o wyniszczeniu Indian opisanym przez księdza Bartolomea de las Casas. Komu przychodzą w takich chwilach na myśli tłumy jasyru gnanego na Krym i dalej po całym imperium osmańskim albo ofiary algierskich piratów grasujących aż po początek XIX wieku wzdłuż europejskich wybrzeży Morza Śródziemnego? Los czarnych niewolników na

plantacjach południa to temat kreślonych w nastroju powagi i wstydu tragicznych obrazów kinematografii amerykańskiej, zalewających potem rynki światowe. Europejskie branki w haremach Orientu to rozrywkowa wizja z gatunku „płaszczka i szpady”, podobnie jak wiosłujący na galerach niewolnicy. Historię niewolnictwa, jako historię hańby białych ludzi, napisali bowiem anglosascy i francuscy abolicjoniści – prawdziwie, ale wąsko i w tej wąskiej wersji jest ona czytana obecnie przez wszystkie narody kultury zachodniej.

Bywa jednak także i na odwrót. Wąskie – narodowe odczytanie historii regionalnej, zostaje zaakceptowane i włączone w nurt historii powszechnej przez narody posiadające hegemonię jej interpretacji w danej epoce. Na tej zasadzie Niemcy zdołali przekonać Anglosasów, że poniesione przez Rzeszę w 1919 r. straty terytorialne były potwornym upokorzeniem, w sposób naturalny prowadzącym do rozchwiania psychiki zbiorowej tak ciężko doświadczonego narodu, które w efekcie zrodziły nazizm. Rzadko kto dostrzega, że Wielka Brytania, godząc się na powstanie Wolnego Państwa Irlandzkiego – tzn. rezygnując z obszarów, które należały do niej przynajmniej od czasów Cromwella, a nie od 1772 r., poniosła straty terytorialne porównywalne procentowo do tych, jakie w Wersalu stały się udziałem Niemiec, a jednak nie popadła w szaleństwo totalitaryzmu i nie zrodziła mitu „krwawiącej granicy”, choć w Ulsterze krwawiła ona w rzeczywistości i to aż do lat 90. ub. wieku.

Czy zatem zasadny jest podział na „narody piszące i czytające historię”? Powyższe rozważania dostarczają licznych dowodów na rzecz tezy, że jest to podział zbyt uproszczony. Wszystkie narody zarówno w przenośni – tzn. poprzez swe czyny, jak i dosłownie – tzn. poprzez swą historiografię, piszą własne historie, wszystkie też swe narodowe

historie same czytają. Są jednak i takie, które w rozmaitych okresach zdobywały pozycję pozwalającą im na pisanie historii nie tylko własnej, ale także swych sąsiadów i to w obu wspomnianych wymiarach. W tym pierwszym – przenośnym – podbój narodów słabszych przez silniejsze wiódł do sytuacji, w której historia polityczna np. Czech po wojnie trzydziestoletniej aż do 1848 r. jest tożsama z historią Austrii. W tym drugim – historiograficzno-literackim – zniewolenie jednych narodów przez drugie zazwyczaj skutkowało powstawaniem urzędowej historii zwycięzców, usprawiedliwiającej podbój i „prawo” do własnego nad podbitymi panowania, najsilniej manifestowane w historii pisanej po rosyjsku: czy to w jej wersji samodzierżawnej, sowieckiej czy putinowskiej.

Istnieje także nieliczna grupa narodów, których potęga, nie tylko polityczna, ale także kulturowa, dawała im w rozmaitych epokach władzę pisania (w sensie historiograficznym) historii ludzkości. W rozmaitych epokach byli to, jak wspomniano, Grecy, Rzymianie, Francuzi i Anglosasi, przy czym każdy późniejszy „hegemon” w tej dziedzinie miał naturalnie możliwość reinterpretacji dziejów swych poprzedników i w tej zreinterpretowanej wersji upowszechnienia ich w epoce własnej dominacji. Inne narody mogły w większym (Niemcy, Rosjanie, Hiszpanie, Włosi, Holendrzy, Portugalczycy, Chińczycy, Japończycy, Arabowie, Hindusi, Zulusi) lub mniejszym stopniu (pozostałe nacje) skłonić „hegemonów” do uzupełnienia ich wersji dziejów powszechnych o najważniejsze wydarzenia z własnej historii narodowej i to głównie wówczas, gdy wpisywały się one w wizję „głównych historiografów”. Przykładem może tu być pamięć o wyczynach niemieckich „Hunów” w Belgii i zupełna amnezja na temat strategii „spalonej ziemi”, jaką w ślad za Kutuzowem z 1812 r. usiłowali powtórzyć Rosjanie w Polsce w roku 1915, czy, w innej skali, kolonialne kłopoty Brytyjczyków z Zulusami lub Amerykanów z Indianami prerii,

przy absolutnej nieobecności długotrwałej walki Mapuchów uporczywie broniących się przed hiszpańskim, a potem latynoskim podbojem na południu Chile i Argentyny.

Historię „czytają” wszystkie narody, nawet, jeśli pod tym terminem rozumiemy jedynie recytowane z pamięci wersety podań plemiennych. W sensie historiograficznym wszystkie także ją „piszą” (choćby we wspomnianym powyżej kształcie). Tylko nieliczne jednak mają przemijającą w czasie zdolność upowszechniania własnej wizji dziejów i narzucania jej, czy to przemocą, czy też wskutek siły własnej kultury, innym ludom. W sensie przenośnym jednak podział ów się zaciera. Nawet najmniejsi mogą swymi czynami „podyktować” historię wielkim mocarstwom jak Serb – Gawriło Princip w Sarajewie w roku 1914, czy Czeczen – pułkownik Asłan Maschadow, dowodzący odbiciem Groznego z rąk rosyjskich najeźdźców w roku 1996.

Przemysław Żurawski vel Grajewski, Radosław Żurawski vel Grajewski

Tekst pierwotnie opublikowany w czwartym numerze "Teologii Politycznej".